

Walery Przyborowski: fragment książki Grom Maciejowicki

Ojciec Ansgary podniósłszy do góry swą białą pasyjkę, począł nią znak krzyża robić nad kosynierami. Ci zdjęli magierki ze swych po większej części płowym włosom okrytych głów i żegnali się nabożnie, aż kosy jeno brzęczały jak pszczoły, gdy się roić poczną, a kruki i wrony wciąż krakały gdzieś pod mglistym niebem - przeczytaj literacką wizję bitwy pod Maciejowicami pióra Walerego Przyborowskiego, którą przypominamy w „Teologii Politycznej Co Tydzień”: Kościuszkowski. Kustosz wolności.

Szary, mętny, pełen nieokreślonego smutku świt przedostawał się przez okna i tłumił żółte światło paru świeczek na stole, przy którym siedział Naczelnik z adiutantami Fiszerem i Niemcewiczem, i podpisywał ostatnie rozkazy. Uskuteczniwszy to, powstał i rzekł:

— A więc tak: prawym skrzydłem ma dowodzić generał Kamiński, środkiem - Sierakowski, lewym - Kniaziewicz. Wyślij waćpan, mości Fiszerze, natychmiast to rozporządzenie. Przypuszczam, że Fersen nie zaraz nas zaatakuje, wszelako należy być w gotowości. Żeby tylko Poniński zdążył na czas, to obawiać się nie mamy czego. Cośkolwiek bądź, należy nam tu stać, choćbyśmy wszyscy polec mieli i zagrodzić drogę Fersenowi. Od tego zależy los Polski.

Rzekłszy to, podszedł do okna i patrzył w milczeniu na mgły białe kłębiące się po nadwiślańskiej nizinie i zakrywające dalszy widok, i szepnął na pół do siebie, na pół do obecnych:

— Jaki smutny poranek!

W istocie niewypowiedziana melancholia drżała w tym świecie szarym, wolno się rozjaśniającym. Promienie wschodzącego gdzieś poza drzewami parku słońca z trudnością przebijały się przez mgłę leniwie się rozwłóczącą dokoła. Wiatr ustał i wielka cisza leżała w naturze, tylko liście z drzew z szelestem spadały. Gromady wron i kawek zrywały się ze swych nocnych legowisk i gdzieś w górze, bo z powodu mgły trudno je było dojrzeć, złowróżbnym krakaniem mąciły tę ciszę.

W izbie panowało milczenie. Adiutant Fiszer wyszedł, by rozesać rozkazy, Naczelnik patrzył przez okno, głęboko zamyślony, a Niemcewicz drzemał na krześle, niewyspany, z rozwichrzonym włosom, ziewający. Z zewnątrz dochodził gwar budzącego się obozu, szykujących się szeregów i po parku uwijali się kosynierzy krakowscy, formując się na głównej jego alei, brzęcząc kosami. A gdy się już uformowali w długi szereg, zjawił się przed nimi, jakby z ziemi wyrósł, ojciec Ansgary w kapturze na głowę nadzianym, spod którego jego siwa, rozwiana broda wyglądała, w habicie podkasanym tak, że widać było jego bose nogi w drewnianych trepkach i podniósłszy do góry swą białą pasyjkę, począł nią znak krzyża robić nad kosynierami. Ci zdjęli magierki ze swych po większej części płowym włosom okrytych głów i żegnali się nabożnie, aż kosy jeno brzęczały jak pszczoły, gdy się roić

poczną, a kruki i wrony wciąż krakały gdzieś pod mglistym niebem. Potem Ojciec Ansgary padł na kolana i podnosząc ręce do góry, zaczął drżącym od starości głosem śpiewać:

Święty Boże, święty mocny, święty a nieśmiertelny, zmiłuj się nad nami.

Cała kosynierka, tak jak stała, runęła z głośnym chrzęstem na kolana, kosy pokładły się jak snopy zboża na ziemię i zagrział chór tak potężny, że zapewne dobiegł on do obozowisk rosyjskich, chór żałośliwy, przypominający swą lękliwą, modlitewną nutą skazańców na śmierć idących, gladiatorów konających na arenie rzymskiej. Było coś dziwnie rzewliwego w tej pieśni o świcie dnia jesiennego na sennych bagniskach nadwiślańskich.

Naczelnik stał w oknie i patrzył na to wszystko, i coraz smutniej mu się na duszy robiło; nawet drzemiący pan Niemcewicz podniósł się i słuchał tej pieśni polskiej błagającej Boga o zmiłowanie. Jeszcze się ona nie skończyła i Naczelnik nie odszedł od okna, gdy wpadł do komnaty adiutant służbowy Kuniewski i stając we drzwiach, głosem donośnym zaraportował:

— Obywatelu Naczelniku, nieprzyjaciel w szyku wojennym postępuje naprzód.

— Już! - szepnął Kościuszko i odszedł od okna, i spytał Kuniewskiego.

— Skąd nieprzyjaciel idzie?

— Od wsi Komory ku Oronnemu.

— To jest ku naszemu lewemu flankowi?

— Tak jest, obywatelu Naczelniku.

Nie już nie rzekł. Włożył na głowę białą swą magierkę ze zwiędłą gałązką jedliny i pośpiesznie wyszedł, wołając za sobą pana Niemcewicza. Znalazłszy się na dziedzińcu krzyknął, by podawano konia, a gdy siadł na niego, cwałem ruszył ku lewemu skrzydłu, gdzie stał regiment Czapskiego czapnikami przez kosynierów zwany, strzelcy Działyńskiego i Dembowskiego, oraz brygada generała Kopcia. Słońce wychyliło się już do połowy i mgłę rozpędzać zaczęło, tak że przy jego blasku można było dostrzec wysuwające się powoli i ciężko z lasu ciemne masy piechoty nieprzyjacielskiej. Zaraz przed lasem, w bok nieco od drogi, wznosiły się piaszczyste wzgórza, na które wyjechało kilkanaście dużego kalibru armat. Widać je było doskonale i w złocistym ich spiżu przeglądało się poranne słońce, zapalało ogniste, migotliwe blaski, a obok nich i za nimi szykowała się piechota najeżona bagnetami i jazda w błyszczących hełmach, przed którą cwałowali oficerowie. Bębny warczały i trąbki nieustannie grały. Jednocześnie wysypał się cały rój ko-zactwa; rozbiegli się po polu i zajeżdżali z boku aż pod samo Oronne, okrążając lewe skrzydło polskie. W tejsze chwili

sponad armat prysnął biały dym, rozległ się huk i wielkie kule ze świstem przeleciały ponad głowami nieruchomo stojących pułków polskich, i zaryły się gdzieś za nimi w piasku i wodach Okrzejki.

Naczelnik, który zatrzymał się, ujrawszy wysuwające się z lasu szeregi nieprzyjaciela, wziął lunetę z ręki Kuniewskiego i patrzył, patrzył długo, a potem rzekł:

— To Denisów.

Tu w tejże chwili zauważywszy, że kozacy dopadają do wsi Koronne, skinął na Kuniewskiego i rzekł:

— Jedź, powiedz brygadierowi Kopciowi, żeby wieś tę zapalił, i miał oko na nią, by go nieprzyjaciel od lewego nie oskrzydlił.

Gdy Kuniewski pocwałował z tym rozkazem, Naczelnik wolno pojechał za nim wzdłuż szeregów lewego flanku witany przez żołnierzy radosnymi okrzykami, zachęcając ich do męstwa i wytrwania. Zaraz też ze wsi buchnęły kłęby czarnego dymu, rozległ się płacz i jęk wieśniaków wypędzających bydło, unoszących swą chudobę, żony i dzieci, i biegnących z krzykiem do pobliskiego lasu. A nieprzyjaciel tymczasem ryczał ze swych armat, zasypując gradem pocisków szeregi, gdy armaty polskie odpowiadać jeszcze nie mogły, bo były mniejszego kalibru i stąd nie tak donośne. Już było wielu rannych i zabitych, i ich jęki i krzyki budziły w sercach żal i smutek. Nadbiegli też adiutanci i donieśli Naczelnikowi, że nieprzyjaciel atakuje także środek i prawe skrzydło.

Słońce wśród tego weszło zupełnie, rozpędziło mgłę i oblało jasnym blaskiem to straszne, krwawe widowisko. Gdy Naczelnik znalazł się przed zamkiem, już nieprzyjaciel tak się zbliżył, że i polska działobitnia grać poczęła, a tak skutecznie, że każdy wymiot kartaczowy wyrwał krwawe szczyby w szeregach nieprzyjacielskich. Mimo to z dziwną pogardą śmierci parły one naprzód. Sam Naczelnik zeszedł z konia i kierował armatami. Za nim w zwartych szeregach stali muszkietierowie pułku Działyńskich i grenadierzy krakowscy z kosami do góry wzniesionymi. Po kosach tych brzęczały kule, ryły się w ścianach zamku, tłukły szyby, łamały gałęzie, strącały liście, zasypując nimi wodza i jego otoczenie. Nagle granat padł między Naczelnika i jego adiutantów, Fiszera i Niemcewicza, zarył się w piasku, wyrzucił go w górę niby fontannę i pękłszy ze strasliwym łoskotem, zabił kanoniera, a wodza zasypał wszelkimi szczątkami.

Nie przerażało to jednak nikogo. Kapitan Brzeziński dowodzący w tym miejscu działobitnią polską, choć mu wszystkie konie padły, a połowa kanonierów leżała za-

bita lub poraniona, nie myślał ustępować. Siedząc na wielkiej kasztanowej kobyle, rozogniony cały, zbryzga-ny krwią, kazał po dwie puszkę kartaczy wkładać w lufy działowe i głosem ochrypłym komenderował: „cel! pal!”. Grzmiały też polskie armatki nieustannie, miażdżąc szeregi wraże na krwawe błoto, wstrzymując je chwilami od dalszego posuwania się naprzód. Dym ogarnął całe pobojowisko, a słońce za tą osłoną wyglądało jak miedziana ciemnokrwawa kula. Pociski sypały się jak grad, roznosząc wszędzie śmierć i zniszczenie.

Gdy na koniec nieprzyjaciel zbliżył się na strzał karabinowy, działownicy rozpoczęli także ogień. Wtedy z obu stron istna ulewa kul leciała, a gdy spojrzeć było na owijającą się dymem dolinę nadwiślańską, wszędzie czerniały nowe kolumny nieprzyjaciela, zewsząd wysuwały się nowe jego szeregi. To odbierało odwagę wielu. Nawet sierżant Kawka zwątpił o możliwości zwycięstwa.

— Cóż - mówił – choć byśwa poszli tak jak pod Raławicami z kosami naprzód, damy to im radę? W Raławicach było nas samych chłopów krakowskich dwa tysiące, a tu nas nie ma i sześciuset, a ich jest okrutna chmara. Gdzie jeno spojrzeć, wszędzie są. A harmat ile!... Chryste Panie, jeszcze też nigdy nie słyszał takiego huk. Święta Maryjo Częstochowska, miej nas w swej opiece!

Ale Kościuszko, ten wódz w chłopskiej sukmance i magierce, nie tracił ani odwagi, ani nadziei. Ze zwiędłą, na pół przestrzeloną przez kulę gałązką jedliny wszędzie był obecny, wszędzie zachęcał z twarzą spokojną, jakby natchnioną w tej ostatniej chwili konania dawnej republiki szlacheckiej. W oczach miał jakby błysk nadziei, jakby rozświecenie się przyszłości, jakby widział to tajne brzemie lat, które wyda kiedyś plód nowej, kmiecej Polski, a tak potężnej i silnej, że nie Zachwieją nią już żadne huragany i żadne burze. Więc z tym natchnionym i pełnym nieziemskiego spokoju obliczem, które zdawało się mówić: „Padniemy teraz na tych Termopilach polskich, ale z kości naszych narodzi się nowa Polska wolna, niepodległa”, biegał on przed szeregami, wszędzie zachęcał do wytrwałości, dodawał odwagi i wołał:

— Jeno patrzeć, a Poniński nadejdzie.

Kiedy na lewym skrzydle ogromna przemoc opadła garść polską, tak że strzelcy Floriana Dembowskiego chwiać się i ustępować zaczęli, to wódz przybiegł i pchnął dwa zbiorowe bataliony Szyszkowskiego, by bagnetem odparły nieprzyjaciela, wołając:

— Naprzód chłopcy! Lada chwila Poniński nadejdzie, a wtedy zwycięstwo przy nas!

Ale Poniński nie nadchodził i nadejść wcale nie miał, a wojownicy polscy, choć mężnie walczyli i nie ustępowali, widzieli jednak niepodobieństwo zwycięstwa. Już nieprzyjaciel zajął folwark Podzamcze i widać było przez rozdzierającą się zasłonę dymów, jak bataliony grenadierów i muszkietierów rosyjskich w ogromnych giwerach na głowach, złożonywszy z siebie tornistry i płaszcze, ruszyły z pochylonym bagnetem naprzód. Pułkownik Krzycki bez czapki na głowie, którą mu kula zerwała, z włosom rozwianym, z gołą szablą w garści, pędem przebiegł szeregi regimentu Czapskiego i wołał:

— Wiara! Nie ustępować! Kolbą i bagnetem!

Ale w szeregach ozwały się głosy.

— Nie mamy nabo!

Więc skoczył do kosynierów i cały rozogniony krzyknął:

— Naprzód, chłopcy! Pokażcie, co potrafi kosa raclawicka!

Sierżant Kawka przed chwilą modlący się trwożliwie teraz na te słowa wypadł na czoło i potrząsając kosą, wołał:

— Za mną, kto w Boga wierzy!

A ojciec Ansgary, zawsze z kapturem na głowie, w swym podkasanym wysoko habicie, spod którego nagie, chude jak piszczele nogi było widać obute jeno w trepki drewniane, podniósł wysoko swą białą pasyjkę i wołał dygoczącym od starości głosem:

— Jezus, Maryja, Józef! Naprzód! Naprzód!

I biegł wprost na wdzierających się na wzgórze zamkowe strasznych, rozjuszonych, dyszących mordem grenadierów sybirskich. Za nim rwał ze wszystkich sił, aż ziemia spod jego ciężkich bucisków pryskała, Walek Kłonica i nie wiedząc, jak zachęcić swych grenadierów, krzyczał:

— Reta! Reta! Hajże na tych szubrawców!

Więc runęła kosynierka chłopska, tocząc się naprzód niby lawina śnieżna, a pułkownik Krzycki porwał swoich czapników i cwałował przed nimi z mieczem do góry wzniesionym, krzyząc z całej piersi:

— Niech żyje Polska!

I zdawało się, że gdy dopędzą, to wszystko roztrącą przed sobą. A biada będzie tym strasznym grenadierom sybirskim, którzy lecą poparci przez muszkieterów kurskich i krzyczą swoje dzikie: „ura! ura!”, i zachęcając się nawzajem, wołają: Pomnij Warszawu, pomnij Warszawu! Oni to bowiem w niezapomnianych dniach kwietniowych, w Wielki Tydzień polski, zostali wyparci ze stolicy polskiej, kiedy to po jej ulicach rozlegał się śpiew:

Wiwat, wiwat polska cnota I Kiliński patriota!

Teraz pragnęli się pomścić swej klęski i sromotnej ucieczki przed „czernią”, jak mówili, i zapłacić ciężko za krew swych towarzyszy poległych na ulicach warszawskich. Na pół pijani, straszni, dzicy, wdzierali się na wzgórze zamkowe niepowstrzymani niczym, zdecydowani na wszystko, nieprzytomni, chciwi krwi i mordy. Starcie tych dwu chmur ciężarnych gromami i krwią obiecywało być straszne.

Niestety! Za ledwie czapnicy i kosynierka wysunęła się naprzód, gdy powitana została z boku taką ulewą kartaczy wymierzonych z działobitni rosyjskiej, że całe szeregi padły pokotem; runął z koniem na ziemię pułkownik Krzycki, padł ojciec Ansgary, padł sierżant Kawka, trupy zaległy całą drogę, a setki rannych krwią broczyło. Ojciec Ansgary z głową od krwi purpurową, bo mu kartacz zerwał kaptur, a z kapturem wierzch czaszki, zerwał się jeszcze na kolana, podniósł do góry swą białą pasyjkę i głosem okropnym, głosem konania, krzyknął:

— Naprzód!

I padł nieżywy.

Watek Kłonica potknął się o jakiegoś trupa i runął jak długi na ziemię, i zdawało mu się, że jest zabity. Ale nie czując żadnego bólu, słysząc wrzaski nieprzyjaciela, huk strzałów i świst kul, nabył przekonania, iż jeszcze żyje i jednym skokiem zerwał się na nogi. Czapnicy i kosynierzy, strasznie przerzedzeni, zbici w niekształtną kupę nie uciekli co prawda, ale już stracili całą pierwotną siłę pędu i kręcili się na miejscu jak szaleni. W tejże chwili gdzieś z boku, przedzierając się przez krzaki, ze strasznym krzykiem i piskiem pędziła gromada huzarów moskiewskich i kozaków. Watek, powstawszy, jednym rzutem oka obejrzał to wszystko i na chwilę ujrzał pana Niemcewicza, jak z dobytym pałaszem w ręku, ubrany w swój płaszcz z pelerynkami, spinał konia ostrogami i wołał na pstrokato ubraną milicję brzesko-litewską, swych kompatriotów, jak mawiał, by szli za nim przeciw kawalerii nieprzyjacielskiej, która chciała dobić czapników i grenadierów krakowskich straszliwie trzebionych nieustannym ogniem kartaczowym. Starła się ta milicja z huzarami, ale w jednej chwili rozbita została i pan Niemcewicz ranny w rękę przeleciał koło Walka, brocząc krwią. Jeszcze się Watek nie mógł zupełnie zorientować, gdy go już opadli huzarzy i kozacy. Na szczęście skupiło się koło niego kilku innych kosynierów, a między nimi mężny Rędzina i oparłszy się o siebie plecami, tak dzielnie machali kosami, że łby i ręce kozackie padały dokoła jak wióry, tak że nikt do tej garstki straceńców zbliżyć się nie śmiał. Skorzystali oni z tego i skoczyli poza plecy regimentu działowniczków, który już bił się bagnietami z grenadierami sybirskimi.

Tutaj to, na dziedzińcu zamkowym i w samym zamku, rozegrały się ostatnie epizody tej krwawej bitwy. Działalniczy dzielnie się opierali, kłuli bagnietami, walili kolbami, a gdy broni zabrakło, chwytali nieprzyjaciela za gardło i w śmiertelnym uścisku padali. Ale coraz więcej przybiegało nieprzyjaciół. Otoczyli prawie dokoła działalniczyków i ci padali jak kłosa zżęte na polu, a rozżarty nieprzyjaciel mordował, krzycząc: Eto za Warszawu! pomnij Warszawu! Wielu naszych, cofając się przed naciskiem wroga, schroniło się do zamku, w którym wszystkie prawie komnaty zapełnione były rannymi. Schronił się tam i Wałek z Rędziną, i oparci plecami o mur, bronili się długo. Ale w ciasnej sieni nie mogli dobrze machać kosami i padli, skłuci bagnietami, a nieprzyjaciel wdarł się do środka i mordował wszystkich, kogo napotkał, dobijał rannych, pastwił się straszliwie.

Wśród tej rzezi okropnej zjawił się nagle Naczelnik i głosem donośnym począł wołać na opierających się jeszcze działalniczyków, by formowali czworobok. Był bez czapki, z włosami rozwianymi, bez broni, tylko ze szpicrutą w ręku i miał ten wyraz natchnienia w twarzy, który zdawał się mówić, że położy się tu trupem na mogile konającej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Ale zaledwie resztki dzielnego regimentu na głos ulubionego wodza szykować się zaczęły, gdy nagle rozległ się głos rozpaczliwy:

— Nieprzyjaciel z tyłu!

Wtedy wszystko się rozprzęgło. Ci dzielni żołnierze walczyli do ostatka, ale wobec nowego wroga złamała się w nich siła oporu. Wielu, widząc nadbiegające z tyłu liczne szwadrony jazdy moskiewskiej, rzucali broń,

padali na ziemię wołając pardonu. Bitwa właściwie już nie trwała, była tylko rzeź.

Bitwa, która rozstrzygnęła losy resztek Rzeczypospolitej Polskiej, ustała koło godziny pierwszej w południe. Prawie wszyscy generałowie polscy dostali się do niewoli. - Sierakowski, Kniaziewicz, Kamiński, któremu wrony w Korytnicy smutne zdawały się przepowiadać losy, niestety teraz zniszczone, dzielny brygadier Kopeć, adiutanci Fiszer i Niemcewicz. Tego ostatniego, obdartego doszczętnie, przybranego tylko w jakiś obszerny i pokrławiony mundur żołnierza polskiego, przyprowadzili kozacy, schwytawszy go gdzieś w bagnach otaczających pobojowisko.

A pobojowisko to przedstawiało straszny widok: wszędzie trupy, szczątki broni, armaty z potrzaskanymi lawetami, jęki rannych. Cały dzielny pułk Działyńskich położył się na pobojowisku i stanowisko jego rozpoznać można było po różowych rabatach i żółtych kołnierzach z naramiennikami. W zamku wszystkie pokoje, schody i piwnice wypełnione były rannymi i trupami. Krew po schodach ciurkiem ciekła. Większość poległych polskich bohaterów była obdarta do naga i dziwne robił wrażenie widok tych tęgich, w sile wieku postaci, nagich, krwawych, ze szklanymi patrzącymi oczyma w niebo.

Około godziny 5.00 czterech kozaków zjawiło się w zamku, niosąc na pikach krwią, zbroczonego, poranionego ciężko naczelnika Kościuszkę. Był śmiertelnie blady i nieprzytomny. Komet Łysienko z pułku huzarów charkowskich przyszedł z tymi, jak się zdawało, zwłokami wodza, który

heroicznie nie chciał przeżyć upadającej ojczyzny i twierdził, że on to dopadł Naczelnika, zranił go i wziął do niewoli. Naczelnik jednak żył. Opatrzność chciała, by wypił w niewoli do dna kielich goryczy.

Dziś, po stu trzynastu latach od tego krwawego boju, wędrowca polskiego odbywającego pielgrzymkę do Podzamcza na każdym nieomal kroku spotykają ślady śmiertelnej walki i żywe w tradycji ludu wspomnienia. Na pałacowym wzgórzu, gdzie właśnie główny bój się toczył, dziś sielskim urokiem ujmującym pielgrzymy jest pięć czy sześć kul działowych utkwionych w ścianach i z religijną, że tak powiem, czcią dotąd zachowanych. Przed pałacem rośnie szeroko swymi konarami rozparta olbrzymia lipa, świadek bitwy, cała nadziana kulami, których dziś nie widać, bo pokryła je kora i mech starości. Podtrzymywana jest ona z wielką starannością, a ojciec obecnego właściciela Podzamcza usychające, ciężko pokaleczone drzewo krwią zwierzęcą kazał podlewać, by je zachować przy życiu, i teraz, pomimo poszarpanego pociskami wnętrza, odwieczna lipa piastowska podpierana, żelaznymi obręczami spajana, żyje i szemrze olbrzymią swą koroną o dawnych dziejach i boju krwawym...

W samym parku, w którym Ojciec Ansgary w nocy poprzedzającej bitwę słuchał spowiedzi mających skonać nazajutrz, tuż pod wsią Oronnem, między grupą starych olch i topoli, znajduje się dość znaczne zagłębienie, gdzie według tradycji miano pochować poległych. Na polu, na lewo od drogi prowadzącej z Oronnego, widać

kępę drzew i zarośli, gdzie także ma się znajdować mogiła poległych wojowników. Na tych polach zresztą pług wieśniaczy bardzo często wyorywuje kule, guziki, szczątki broni, kości ludzkie...

Ale ważniejszą od tych widzialnych pamiątek tragicznego boju jest żywa tradycja dotąd między ludnością miejscową przechowana. Nie ma nikogo, kto by, zapytany, nie powiedział, że tu była bitwa, że Kościuszko tu walczył, że oto na tych polach bój śmiertelny toczono. Podniosła, idealna postać Naczelnika tak głęboko wryła się w pamięć ludu tutejszego, że żyje po dziś dzień w podaniu, wspomnieniach, smętnym jakimś żalem zasnutą, urokiem dawnym pokryta.

Tradycja ta opowiada, że ludność miejscowa i wielu żołnierzy polskich w ostatnich chwilach boju schroniło się do zamku i do jego piwnic, i tam ich wszystkich wymordowano. Piwnice te długo potem przepełnione były kościotrupami, które przy restauracji piwnicy dobito i pochowano zapewne w parku, w owym zagłębieniu starymi olchami ocienionym, na prawo od drogi z Oronnego.

Historia nie powiada nam, przez kogo i gdzie Kościuszko ciężko poraniony do niewoli wzięty został, tradycja za to wyraźnie to miejsce oznacza. Twierdzi ona, że Naczelnik pierwszą ranę, zapewne od pocisku, otrzymał koło zamku, że mu ją opatrzone pod drzewem, prawdopodobnie pod ową lipą odwieczną kulami przepełnioną i że dostał się do niewoli we wsi Krepie. Wieś ta, oddalona o milę od Podzamcza, przedzielona jest odeń bagnami, dziś na stawy zamienionymi, które tworzy rzeczka Okrzejka. Na przełaj przez te bagna z Podzamcza do Krępy może być ze cztery wiorsty. Trzęsawiska te leżące na tyłach linii polskiej były w owe czasy trudne do przebycia i ciągnęła się przez nie wąska grobla, która niezmiernie utrudniała posuwanie się szybkiej kolumny Rachmanowa. W tych bagnach, zawsze według podań, miały po tonąć jakieś armaty, nie wiadomo, do której ze

stron walczących należące, co jest jednak wątpliwe, gdyż przy kopaniu stawów obecnych nie natrafiono na nie wcale, co musiałoby nastąpić, gdyby w rzeczy samej tam się znajdowały.

Za tymi to bagnami, za lasem, leży Krępa. Lud miejscowy wskazuje miejsce, „gdzie się Kościuszko obalił”. Za dworem, a raczej za pałacykiem, w gaju olszowym rosnącym na trzęsawisku, na lewo od drogi prowadzącej do Łaskarzewa, za płotem zwyczajnym wznosi się kopiec pamiątkowy usypany w roku 1802, a na nim prosty, drewniany krzyż, na ramieniu poprzecznym którego widnieje dotąd czytelny napis: „Boże zbaw Polskę!”, na pionowym: „Na cześć braciom poległym za wolność Ojczyzny dnia 10 Października 1794 roku”.

Do miejsca, tak wielkim zdarzeniem historycznym pamiętnego, przesiąkniętego krwią bohaterów, na którym wśród oparów wieczornych, zdają się słać cienie poległych wojowników, każdy Polak powinien odprawić pielgrzymkę. Ileż tu wspomnień i jakich wspomnień!...

Tutaj to, przed kilku laty pewnego wieczoru lipcowego, skierował swe kroki w takiej żałobnej pielgrzymce autor niniejszego, by uklęknąć u posępnej mogiły i ucałować tę ziemię, gdzie się Naczelnik obalił i gdzie z nim obaliła się Rzeczpospolita...

Walery Przybrorowski